



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ZGASZONA ISKRA.

„Dwie są melancholie: jedna jest *mocy*, druga ze *słabości*; pierwsza jest *skrzydłami* ludzi wysokich, druga *kamieniem* ludzi topiących się.“

Słowacki.

Gdy gaśnie światło słońca zachodzącego, mimowoli ogarnia człowieka tęsknota za tym dniem minionym, który już nigdy nie wróci. Gdy u ogniska domowego gaśnie iskra ostatnia podniosłych uczuć—mimowoli pyta się człowiek, czyli „jutro“ rozpalające nową, inną iskrą ogień—zdola dać mu i to samo ciepło, które „wczoraj“ niosło? Tak też i w świecie ducha,—gdy widzimy gasnące iskry uczuć wiary—nadziei i tej miłości, która oświetlała sobą wielki obszar życia—pytamy się z trwogą:—kto zgaszone iskry rozпали—kto rozłti owo światło wielkiej prawdy i cnoty?..

Dzisiaj serca ludzkie ubożają i milkną, wkrada się do ich głębi zwątpienie, owa bezlitosna fala, która nie tylko gasi iskrę po iskrze, ale podmula i wyrwa nieraz zda się niezachwiane zasady. Gdzie zamieszkało zwątpienie, tam zgasła wiara, gdzie niema wiary, tam obejmuje berło rządu owa melancholia, o której powiada Słowacki, iż jest „kamieniem ludzi topiących się.“

Istotnie—toną, ci, którzy ciężarem głazu zwątpienia przyciśnięni opadają coraz niżej w krainie życia duchowego, którzy widzą w około tylko tyle celu życia, ile widnokrepu dojrzy oko ludzkie, po zachodzie słońca i zagaszonym ostatnim błysku światła dziennego.

Lecz jakże niebezpiecznie ze szczęściem ludzkości igrają ci, którzy z zwątpieniem nie tylko że nie kryją się, lecz przeciwnie, zda się umyślnie odziewają się jego szatą niby jakimś płaszczem cierpienia i bólu, niby osłoną wyższych nad codzienną popolitość uczuć, ci—sieją ziarno gorzyczne, które choć drobne—może urosnąć w wielkie i rozłożyste drzewo. Ale na tym drzewie, ani ptak gniazda nie założy, ani z jego owoców ludzkość posiłku nie weźmie, ani w jego cieniu wędrowiec zmęczony nie odpocznie w spokoju.

Ludzie, którzy są rozgoryczeni, złamani, zachwiani, a z tem wszystkim posiadają ową melancholiję zwątpienia, która płynie ze słabości—ci—zawsze i wszędzie są niebezpieczni wśród społeczeństwa, lecz o ileż niebezpieczniejsi są tam, gdzie wychowuje się młodość!—Wiadoma to rzecz, iż serce dziecka, to gleba żyzna i bujna. Czasem jedno słowo—myśl jedna, rzucona bezwiednie nawet na tę rolę, wyda plany obfite. Chwyta ona i złe i dobre nasiona, a tem chętniej chłonie posiew taki, którego mu wychowawcy bronią. Zdarza się więc dziś nie rzadko, iż spotykamy dzieci rozgoryczone, zdradzające się ze zwątpieniem i zimne tak w uczuciach, że z bólem dusza nasza pyta—kto im tak wczesnie iskrę nczuć, wiary—nadziei zagasił?..

Niestety—wiele prądów dzisiejszej doby ściera się nad tą lodygą wątlą, i młoda, którą zwieemy najmłodszym pokoleniem. Prądy te—gaszą ogień uczuć—uczą brać wszystko na zimno, „rozumowo“, „praktycznie“, a „zapalu“ i „uniesień“ każą się strzedz jak słabości...

Prądy stronnictw, ducha czasu, epoki nowej, huczą i grają wyżej—młodzię starsza poczyna je dostrzegać i słyszy ich muzykę. Ale działyta młodsza, tej fali nie zna i nie widzi. Czemuż przecie spotyka się dzieci, które już zdradzają się z chorobami młodej duszy?..

— Nie warto uczyć się i mozolić, powiada 14 letni Kazio, wujcio zawsze mówi, że „osły“ większe mają szczęście jak ci, którzy byli celującymi.

— Chciałabym wygrać wielki los na loteryi, mówi Zosia 12 letnia, bo bez pieniędzy życie nie nie warte.

— W książkach piszą same kłamstwa, rezuje Jaś, zawsze mówią, że cnota jest nagrodzona, a niesprawiedliwość ukarana—tato co dzień powtarza:—„tyle twego co masz—o nic więcej nie dbaj i nie pytaj!“

— Szkoda, żem się urodziła, żali się młoda panienka—dziś nie warto żyć—ciocia mówi: dawniej byli inni ludzie, inny świat—inne życie—dziś—inaczej..

Podobnych skarg z ust młodych—ileż słyszemy?

Bynajmniej nie są one wymyślone—trzeba tylko przyłożyć ucho nieco bliżej do tętna życia młodego, a z przerażeniem i trwogą zawołamy:

— „Jeśli młodość wątpi—któż wierzyć będzie?“—

Kto będzie wierzył?—trudno odpowiedzieć, ale o tem możemy stanowczo zapewnić, iż nie będzie młodzieży rozgoryczonej, jeśli my—będziemy ostrożniejsi w obec niej, nie zagaśnie iskra wiary—potęgi życia, jeśli ci, którzy są już złamani i rozgoryczeni nie będą ran swych przed okiem młodości odsłaniałi.

Zda się nieraz, iż my, w wychowaniu, wszelkie siły ku temu wyteżamy, aby prawdziwie, młode życie od kalectwa, niedołęztwa lub groźnej choroby uchronić. Mimo tego—zostawiamy nieraz jeden—dwa—trzy tony takie, które zupełnie psują i niweczą harmonię rozwoju władz ducha i serca młodzieży.

Dzieje się to dlatego, że my sami, my, wychowawcy, mamy w sobie zarazek złego i nie umiemy się z niego wyleczyć, ani bodaj ukryć z tą słabością należycie, siejemy chwast wśród szla-

chetnych cnót—zaszczepiamy zaród kalectwa tam, gdzie chcemy mieć rosłe—silne—zdrowe drzewo.

Największy artyzm, mistrzostwo, poświęcenie i zasługa w wychowaniu właśnie na tem zależy, aby nie dać nigdy przykładem, złej siebie—nie rozgoryczyć wcześniej duszy młodej, wtedy, gdy nam piosłunową czarą życie usta poi.

Jak w nadmorskiej latarni, musi się tlić płomyk nie zagaszony, tak w wychowaniu młodzieży, musi się żarzyć nie zagaszona iskra wiary w wartość i cel życia.

— „Licha tam takie życie“ woła pan X—przez stoletie... a kilka par ócz młodych patrzy na niego, który, przerażeniem—ciekawością,—a kilka głów młodych w pamięci to sobie chowa i—potem pyta—czy życie co warte?

— Niema się co rozczulać, ani roztkliwiać nad nędzą drugich, mówi pan N.—przedewszystkiem trzeba o sobie pamiętać, bo dziś takie czasy, że nie o drugich, ale o sobie trzeba myśleć.

I znów dwa—trzy młode serca to zapamiętają,—a potem, zamykają drzwi przed litością—współczuciu każą milknąć—myślą i pamiętają o sobie.

A gdy tak dzieje się co raz liczniej—co raz częściej—zawisa co raz wyraźniej nad nami owa „melancholia“, która jest kamieniem tonących ludzi—słabych.

Dwa są rodzaje melancholii, rzekł Słowacki, pierwsza jest skrzydłem ludzi wysokich—druga kamieniem tonących. Pierwsza jest wznieśieniem myśli i uczuć nad egoizm i nicosć—druga jest kwileniem niedołężnego nad swoją niedolą. Pierwsza skupia w głębi ducha tysiące myśli—wrażeń i uczuć. Zamyka je przed wirem świata, ukrywa przed bezdusnością i lekkością, snuje je nicją złotą na wielkie, olbrzymie przedziwo życia wewnętrznego—bogactwo ducha, ta—pierwsza melancholia—jest milczeniem, powagą, myślą, która się nie rozprasza lekkomyślnie, lecz jako istotne skrzydło ludzi silnych unosi ich w owe światy, w których niema dziś i jutra, lecz istnieje wieczność, w których niema zwątpienia, lecz jest niezłomna ufność w wartość życia—częstkę Bożą.

Lecz druga—ów kamień ciężki, ów gładz mogilny—ów kir zwątpienia, jakżeż nas kaleczy—pograża—odziera z szczęścia.

Ostrożnie z tą melancholią! I dla nas samych jej się strzedz potrzeba i dla szczęścia młodzieży należy ludzi tą chorobą tkniętych po bratersku leczyć i z toni wyrwać.

Świat sam przez się, będzie studzić i chłodzić serca młodzieży—więc my—nie gaśmy iskier. Niech płoną niech świecą, niech grzeją. Zgaszona iskra—czasem nie da się raz drugi rozżarzyć. Zgaszone ufność i uczucia—nie zawsze dadzą się na nowo rozetlić.

Młodość—ma być podobną do owego drzewka, które w noc wigilijną rozpala się co raz piękniejszymi płomykami,... a które tyle szczęścia—uciechy i wspomnień zawsze z sobą przynosi.

Niech młodość życie kocha—niech ku niemu wznosi ramiona jak do gwiazdy jarzącej na niebie—niech wierzy w ideały—cnotę—niech czerpi prawdę—poświęcenie, zasługę, a wtedy nie będzie melancholii, która jest słabością i kamieniem, ale będzie prawda życia, która jest skrzydłem ludzi silnych i która unosi ich nad pył i ziemskie padóły. *Jadwiga Strokowa.*

Ziemia odmłodzona, cała
Z letargicznych snów zbudzona,
Wstaje, świeża uśmiechniona,
I w ekstazy barwnej toni
Pieśń wiosnianą mile dzwoni,
I urokiem szczęścia pała.

Wszystko lśni się, perli, śmieje,
I jak srebrnych wód kaskada,
Czar rozkoszy na świat spada,
I przezroczą skrå opali
Po wszechświecie się kryształy,
I dokoła wdzięk swój sieje.

Śmiech słoneczny ziemię muska,
W każdym kwieciu szczęście jarzy,
I po polach gospodarzy;
Na ogrodach blask swój kładzie,
Z konarami igra w sadzie,
I po wikłach wodnych pluska.

Jakiś czar niewysłowiony
I upojeń cudnych eden
Ziemię w uśmiech zmienia jeden,
Kędyś w nieba wszczęty łonie.
I świat cały krasą płonie,
Nowem życiem rozjaśniony.

Lecz choć rozkosz władnie światem,
Nie zerwane zimy pęta!
Wiosna!—ta zaledwie wszczęta,
I dopiero później nieco,
Kiedy zimy tchy uleca,
Świat zakwitnie szczęścia kwiatem.

Wnet z oddali się wyłoni,
Pełna ciepła i upojeń,
I rozwiewnych pełna rojeń,
W blaski strojna i w czar wieczny,
I w pogody wdzięk słoneczny,
I w przezroczą dal pogoni.

I obejmie świat miłosna,
I zanuci pieśń rozkoszy,
Smutki zwieje, ból rozproszy,
I na kwietne siadłszy darnie
Do swej piersi świat przygarnie:
Wiosna, wiosna, wiosna, wiosna!
Józef Wisniowski.

Jaśło.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

X

Czas upływał a Maksymilian widział że położenie jego wcale się nie polepsza. Stał on w Mogile, gdzie znajdował się obszerny i bogaty klasztor, służący teraz za kwaterę dla niego i całego dworu: wojsko zaś rozłożyło się po wsiach okolicznych. Jednakże wielka część jego, zwłaszcza piechota, stała pod gołym niebem, znosząc deszcze i niepogody jesienne; konie pa-

dały, ludzie słabli na duchu i na ciele, a nieczynność i długie układy Maksymiliana do reszty odbierały zapał jego wojsku. Przytem brakło żywności i paszy dla koni, bo Rabsztyn, obsadzony żołnierzem hetmańskim, nad którym przywoził Gabryel Hołubek, przecinał dowóz żywności ze Szlązka.

Wprawdzie Zborowscy twierdzili że to wszystko prędko przeminie, że tylko jeden Zamojski zachęca naród do oporu i gdyby nie on, szlachta przyjęła by arcyksięcia z otwartymi ramionami, że mając za sobą dwóch Radziwiłłów, ma się całą Litwę, która urażona że bez niej odbyła się elekcya Zygmunta, gotowa była uznać Maksymiliana, że wreszcie król Jan wielce niechętny wyjazdowi syna lada dzień go odwoła.

Lecz słowa były tylko słowami, a tymczasem Hołubek czyhał zaczajony, jak jastrząb na skale Rabsztyna. Gdy Maksymilianowi przybyły dawno oczekiwane posiłki ze Szlązka i Łużyc i ciągnęły przez okolice Olkusza, wypadł na nich niespodziewanie w sto koni, a że byli zupełnie nieprzygotowani, gdyż sądzili że idą tylko po to by wystąpić na koronacyi Maksymiliana, więc rozbił ich z łatwością z pomocą olkuskich górników, którzy zaczajeni w skalach wypadli znienacka w chwili stanowczej.

Niemale też zniechęcenie zaczęło się ukazywać wśród wojska arcyksięcia z przyczyny tych niepowodzeń. Wprawdzie codziennie niemal zwodzono harce z hufcami Zamojskiego, ale żadnej znaczniejszej przewagi nie otrzymano. Tymczasem dochodziły wieści że Zygmunt się zbliża, że już jest w Piotrkowie.

Pewnego dnia, gdy deszcz lał od rana i żołnierze pochowali się, gdzie mogli przed strugami wody, płynącymi ze wszech stron, kilkunastu dowódców polskich zgromadziło się w chacie chłopkowskiej, służącej za mieszkanie jednemu z ich towarzyszy, rotmistrzowi Łozowickiemu, do którego zeszli się na naradę. Wśród nich znajdował się i pan Jan. Wszyscy wyglądali na zmęczonych i zniechęconych, do czego jeszcze przyczyniała się szkaradna jesienna pogoda.

— Im tam dobrze w Krakowie,—ozwał się jeden, patrząc w okno,—rozkwaterowali się po domach mieszczkańskich, niczego im niebrak, a my!..

— Nam przyjdzie zdychać z głodu, jeżeli tak dalej będzie.

— Najgorsze to, ozwał się Łozowicki,—że nad nami Zamojszczyki wciąż biorą przewagę. Ot, niedawno pan Stadnicki haniebnie pobit w Gorkwi, a rotmistrz Bułakowski, wysłany przeciw niemu siła Węgrów nabrał do niewoli.

— I tak zawsze będzie, jeśli nas tu będą trzymali w nieczynności, miasto wydać bitwę Zamojskiemu!

Wciąż tylko radzą, paktuują i posły szła do Krakowa, a my tymczasem stoim, na słońcu i zimnie,—i żadnego ztąd pożytku niema.

Niezadowolenie rosło, w miarę jak obecni wypowiadali to co im na sercu leżało; mimowoli pięście się zaciskały a ruchy stawały się coraz gniewniejsze.

— Obaczmy co postanowią na dzisiejszej radzie wojennej,—rzekł Łozowicki. Arcyksiążę wezwał wszystkich swoich Szwabów znaczniejszych, a i nasi panowie również tam poszli.

— Teraz Szwaby wszędzie prym mają, mruknął ktoś z obecnych.

— A ja waszmościom ot, co powiem, ozwał się drugi tajemniczo. Podobno arcyksiążę mówił przez posły Zamojskiemu, że gotów jest wojsko wycofać z granic Rzeczypospolitej, byle tylko stany elekcye jego roztrząsnęły.

— Widać że jest niepewien swego, dorzucił pierwszy półgłosem.

— Czy to tylko prawda? rzekł Łozowicki z niedowierzaniem. Cofać się kiedy się ma daleko znaczniejsze siły, byłoby szaleństwem.

— Ale czy wam się nie zdaje, że byłoby dobrze, by stany roztrząsnęły elekcye Maksymiliana, czyli jest prawna? ozwał się ten sam, który tę wiadomość podał.

Wszak byli tacy z pomiędzy naszych, którzy odrazu mówili, że nie wedle przepisów się odbyła?

— A co mię tam to obchodzi! odparł Łozowski, machnąwszy ręką. Niech tam myślą o tem panowie, którzy tę elekcyę sprawili,—nam, żołnierzom, nic do tego.

— Jakto! zakrzyknęli inni. Albośmy to nie szlachta?— Gdyby tak powiedzieli owi najemni szwabscy kapitanowie, tedy mieliby słusność, ale nie my!

— A waszmość co powiesz o tem? zapytał jeden z towarzyszy pana Jana, który dotąd milczał. Czy także mówisz że żołnierz nie powinien wtrącać się do niczego, tylko iść tam, kędy go inni prowadzą?

— Powiem wam w krótkich słowach, co myślę, odrzekł pan Jan. Każdy z nas, jako wolny szlachcic, powinien mieć własny sąd o tych rzeczach,—ale zdaje mi się że jeśli kto żywi jaką wątpliwość co do prawności elekcyi, to miał czas ją wyrazić pod Wołą. W chwili, gdy Maksymilian został okrzyknięty królem, każdemu co się na to nie zgadzał, wolno było wystąpić z szeregów; ale teraz, kiedyśmy go już uznali za pana, kiedy zaprzysiągł pakta konwenta, i kiedy stoimy naprzeciw Zamojszczyków, byłoby podłym wszczynać w obozie niepokój i zawichrzenia.—A jeśli kogo uraziło to co rzekłem, to gotów mu jestem stanąć, gdzie i kiedy zapragnie, dokończył, śmiało i spokojnie patrząc po otaczających.

— Dobrze waść rzekłeś, ozwał się Łozowski, i chyba nikt zacny za te słowa urazić się nie powinien. — Ale spojrzycie-no waszmościowie, jazda podczaszego koronnego gotuje się do wyruszenia;—coś w tem jest!

W tejże chwili do chaty wszedł rotmistrz Turowski:

— Przyszedłem pożegnać waszmościów, rzekł, stojąc w progu, ruszamy niebawem pod Piotrków.

Wszyscy się porwali z miejsca:

— Co, pod Piotrków? Chcecie pojmać Zygmunta?

— Tak;—wysłani zostali: podczaszy koronny, starosta żygwulski i Lichtenstein;—mają zabiedz drogę Zygmunta i pojmać go lub wystraszyć tak, żeby znów powrócił za morze, zkąd przybył.

— Byłe się tylko im powiodło!

Wszyscy wyszli z chaty, chcąc obejrzeć wyruszające hufce. Krzysztof Zborowski i Stadnicki, na koniach, odziani w zbroje stali już na czele powierzonych im szyków; podczaszy koronny był jakiś chmurny, starosta żygwulski zaś żegnając się z marszałkiem nadwornym, który przyglądał się ich odjazdowi, rzekł z przechwałką:

— Obaczycie niebawem Zygmunta!

Pan Jan również patrzył za wyruszającymi hufcami i myślał nad tem, czy się owa wyprawa powiedzie. Musiał on wszystkich sił używać, by się również nie poddać zniechęceniu, bo dla takiej jak jego natury, najgorszą rzeczą jest bezczynność. Aby się z niej wyrwać, gotów był rzucić się w jakiegokolwiek bądź przedsięwzięcie, któreby zdołało dać mu zapomnienie w chwilach kiedy przychodziła nań wątpliwość, czyli dłużej zrobił że się oddał sprawie, która nie zawsze miała za sobą pozory słusności. Ale starał się zawsze odpędzać podobne myśli, powiadając sobie że byłoby to z jego strony godną pogardy niest.łością zniechęcić się tak prędko do sprawy, dla której już tyle poświęcił. Nie ma bowiem rzeczy trudniejszej, jak cofnąć się w porę, gdy się raz weszło na jakąkolwiek drogę; przede wszystkim na przeszkodzie do tego stanie zawsze miłość własna, która nie dopuszcza do uznania, że się popełniło omyłkę.

i pozabijawszy wielu ludzi, resztę zmusił do poddania, i pomimo danego słowa, kazał ich także wszystkich wymordować. Tymczasem żołnierze Zborowskiego i Stadnickiego w najlepsze gospodarowali w Przedborzu, rabując i gwałcąc mieszczan, którzy nie śmieli nawet głośno się uskarżać na ową klęskę.

Nazajutrz po opanowaniu Przedborza, dość jeszcze rano, wszczął się nagle jakiś hałas na rynku. Wkrótce pokazało się że przyczyną jego była fura z sianem, którą żołnierze zatrzymali. Parobczak który ją prowadził, odziany w białą sukmanę, stał przy wozie i rysował coś biczyskiem na piasku. Dokoła zebrała się gromada żołnierzy i mieszczan, wszyscy rozprawiali żywo i głośno, o co jednak ani konie ani pan ich nie zdawały się nadto troszczyć: konie szczypały nędzną trawę, nie dbając o marność tego świata, a parobczak, nasunawsy czapkę na bakier, patrzył na otaczających z miną, która zakrawała nieco na drwiącą, choć usiłowała być głupkowatą.

Przed nim stał wachmistrz, pytając z surową postawą:

— Cóż, czy powiesz, dokąd jechałeś z tą furą?

— Juźci, jak wielmożny pan chce tak bardzo, to powiem,—ja nie z takich co się lubią upierać. Tatusz mi zawsze mawiał: Maciek, jak się do ciebie kto przycepi, to mu ustąp;—pamiętaj sobie zawsze na przysłowie: Ustąpić głupiemu, sto dni odpustu.

— A, ty chamie! zawołał wachmistrz rozzłoszczony, co ty tu będziesz szczekał?

Zamknę ja ci zaraz gębę!

Parobczak podrapał się w głowę z miną pokorną.

— Wybaczajcie, wielmożny żołnierzu, jeśliś co z prędkości nie tak powiedział, rzekł, kłaniając się,—to dlatego żem nienauczny.

— Dam ja ci dobrą naukę,—poczekaj! pogroził mu wachmistrz. Gadaj, gdzieś jechał z tą furą?

— Tażę chciałem przecie jegomości powiedzieć żem wioził to siano na sprzedaż do miasta...

Tu podrapał się znów w głowę, ale wyraz jego oczu mówił wyraźnie, że ma chęć znów coś powiedzieć takiego, co by rozgniewało zebrane towarzystwo.

— Ludzie mi tak gadali po drodze, prawili dalej: Strzeż się a ino Zborowczyków, niebo że, bo to wszystko złodzieje, a rozbójniki co do jednego, to ci jeszcze siano wykradną. Niech wielmożni panowie mi powiedzą: czy te Zborowczyki istnie tacy?

— A słuchaj no tam chamie! krzyknął któryś z żołnierzy, nie rozpuszczaj tak języka, bo ci go utniem!

— Patrzajcie go,—niby głupi, a zuchwałość mu z oczu wygląda, mówili inni między sobą.

— Proszę wielmożnych panów, rzekł parobczak, zasłaniając sobie usta czapką, ja ino powtarzam co mi ludzie powiadali, a nie wiedziałem, że ci Zborowczyki to jacy krewni wielmożnych panów, inaczej nie mówiłbym na nich, że to złodzieje...

— Dam ja ci, zuchwały łotrze! zawołał wachmistrz, rzucając się, jakby chciał go porwać za kark. Ale w mgnieniu oka wieśniak dobył karabeli z pod sukmany i stanął w postawie obronnej. Ta przemiana chłopca w rycerza odbyła się tak prędko, że obecni oczy sobie przecierali.

Hałas, który ztąd powstał ściągnął na rynek samego pana Stadnickiego, oraz Krzysztofa Zborowskiego. Starosta żygwulski tylko okiem rzucił na chłopca, a natychmiast zawołał:

— A, znam cię, bratku! No, teraz porachujemy się! Pamiętaj karczmę na drodze do Wąchocka?

— Ja myślę że pan starosta także jej nie zapomni, rzekł pan Ignacy, który nawet w chwili śmierci nie przepuścił by okazji do rzucenia jakiegoś złośliwego słówka; ale to mi wcale nie dziwno, ile że pan starosta miał ważne powody do zapamiętania jej.

— Chyba masz drugie życie w zapasie, że śmiesz do mnie tak gadać? rzekł Stadnicki ze spokojem, który miał coś złowrogiego w sobie. A obróciwszy się do żołnierzy, krzyknął:

— Dalejże, obszukać go,—pewnie ma przy sobie jakie listy!

Rzeczywiście znaleziono w czapce zaszyty list do marszałka Opalińskiego pisany ręką samego hetmana, Stadnicki, przeczytawszy go, rzekł do Krzysztofa Zborowskiego:

— Oni nie wiedzą nawet, że Zygmunt już wyjechał z Piotrkowa.

— Trzeba wybadać jeńca, odparł Zborowski półgłosem; przybywa z Krakowa, więc się można od niego dowiedzieć, co tam pan kanclerz zamysła.

A obróciwszy się do pana Ignacego, zapytał: — Cóż słyhać w Krakowie? Czy pan Zamojski namyślił się wreszcie otworzyć bramę przed Jego Królewską Mością Maksymilianem?

— A tak, jużesmy nawet przygotowali bramy tryumfalne na jego przyjęcie, a armaty stoją na wałach, by bić na vivat, skoro się zbliży, odrzekł pan Ignacy, ze zwykłą swą, drwiąco-obojętną miną.

— Nie drwij waść, a odpowiadaj szczerze co wiesz, odrzekł Krzysztof Zborowski, brwi ścigając. Nie czas teraz na żarty, gdy jesteś w naszych rękach.

— O, my z waszmością jeszcze poartujemy sobie, skoro sposobna pora ku temu będzie, rzekł Stadnicki, patrząc na pana Ignacego i mrugając okiem w taki sposób że kogo innego by dreszcz przeszedł, ale zuchwały chłopak nie pokazał po sobie najmniejszego strachu i odparł, niepuszczając wzroku pod jego spojrzeniem:

— Owszem, ja panu starości zawsze rad będę.

— Obaczmy, obaczmy, odparł wciąż mrugając, Stadnicki. A teraz gadaj prawdę, bo cię potrafimy zmusić do tego.

— Niepotrzeba, ja i bez przymusu powiem, odparł pan Ignacy, odrzucając głowę i spoglądając po otaczających okiem, w którym świecił jakiś wyraz psotny i zaczepny, jakby wcale nie szło mu o własne bezpieczeństwo. Chcecie, prawdy, waszmościowie, to wam zaraz ją powiem, tylko rzeknijcie pierwej: czego pragniecie się dowiedzieć?

— Aha, trochę inaczej śpiewasz teraz, mruknął Stadnicki, a głośniej zapytał:

— Powiedz najpierwej: dokąd jechałeś?

— A czemu bym nie miał powiedzieć? Jechałem do Piotrkowa, gdzie podobno król się zatrzymał i gdzie miałem list ten oddać marszałkowi koronnemu, aleście mi go waszmościowie zabrali.

— A pocóżes się za chłopca przebierał?

— Wiedziałem przecie że waszmościowie tu w Przedborzu zabawiacie się opróżnianiem mieszczkańskich worków i spiżarni, a bojąc się by mi się podobna rzecz nie przytrafiła, wolałem już w chłopską skórę się poszyć! Co prawda to niewiele mi to pomogło, dodał jakby do siebie. A może waszmościowie jeszcze cośkolwiek chcielibyście wiedzieć?

— Czyś nie słytał po drodze jakowych wieści o Zygmuncie? zapytał Zborowski.

— Jego Królewską Mość wyjechała już z Piotrkowa, a szlachta wielkopolska, mazowiecka i sieradzka zbrojno stanęły by pochód jego osłaniać, odrzekł pan Ignacy głosem obojętnym, ale śledząc uważnie jakie wrażenie wieść ta sprawi na obu panach. Ci zdawali się poruszeni, usłyszawszy wiadomość o zbrojeniu się szlachty; a Stadnicki zawołał przez zęby:

— A niechże ich pioruny zatrzaska!—Ale czy to tylko prawda? Wnet przekonamy się czyś nas nie oszukał...

— Chcecie waszmościowie, to wiercie, a nie chcecie,—to cóż ja na to poradzę? Zapytajcie kogokolwiek, a powie wam to samo co ja.

Zborowski począł na boku naradzać się ze Stadnickim; obaj zdawali się zaniepokojeni.

— Może oni naprawdę nadciągną tutaj, mówił podczaszy, a wówczas z naszą garścią zbrojnych nie wytrzymamy.

— To cóż,—może lepiej cofnąć się znów pod Mogiłę i dać znać arcyksięciu o zbliżaniu się Zygmunta? odrzekł starosta.

— Tak pono będzie najlepiej, potwierdził Zborowski,

Stadnicki kazał żołnierzom swoim wziąć pod straż pana Ignacego, a przed wieczorem cały hufiec opuścił Przedborz, powracając ku Mogile, z wieścią o ogólnem zbrojeniu się szlachty, którą potwierdzili i inni jeńcy, pojmami w okolicy.

Nazajutrz po powrocie Krzysztofa Zborowskiego, w jego kwaterze zjawił się pan Jan, z twarzą zaniepokojoną, i ujrawszy podczaszego rzekł głosem, który zdawał się z trudem wydobywać ze ścieśnionego gardła:

— Panie podczasz, przyszedłem do was z bardzo wielką prośbą;—idzie tu o życie...

I nie zważając już jakie wrażenie wywarły jego słowa, mówił dalej szybko, jakby się bał by nie stracić czasu:

— Mój brat stryjeczny dostał się w ręce starosty żygwulskiego, który ma do niego jakąś urazę i jak mi mówił rotmistrz Turowski, odgrażał się, że się na nim pomści teraz za nią. Znam na tyle starostę, że wiem iż się nie cofnie, gdy idzie mu o zaspokojenie swej zemsty...

— A, więc ten szlachcic, pojmany na rynku w Przedborzu, to brat waszmości, rzekł podczasz. Ależ to szalona pałka;—żeby tak leżeć prosto w paszczę starości żygwulskiemu! Patrzyłem na niego umyślnie,—nie mu serca nie ubyło, choć Stadnicki spoglądał na niego prawdziwie jako wilk rozżarty. No, ale w czemże ja mu mogę być pomocnym?

— Wszyscy mi powiadają, że wy, panie podczasz, jedni możecie go ocalić z rąk starosty, który was tylko słucha, skoro jest w gniewie...

— Bardzo dobrze,—zapomniałeś tylko waszmość że brat twój na nowo rozsierzdził starostę, pozwalając sobie na różne zbyt śmiało docinki, od których należało mu się powstrzymać choćby przez wzgląd na własne bezpieczeństwo...

— Wiem ja o tem że on nigdy nie potrafi powstrzymać się, choćby szło o życie,—takim już był od dziecka... Mimo to wszystko szedłem do was, panie podczasz, ufając że nie odmówicie mej prośbie, bom sądził, nie wiem czy słusznie, że jeśli ojciec mój dobrą pamięć u was zostawił po sobie, tedy ona winna także w tej sprawie zaważyć cokolwiek na szali. Jeżeli się omylił, raczcie mi darować moją śmiałość...

To mówiąc, skłonił się i chciał odejść. Jednakże mimowolna gorycz, jaka się przebiła w jego ostatnich słowach nie uszła uwagi podczaszego, a że wszystkim Zborowskim szło o to teraz, by sobie nie zrażać stronników, chociażby najmniejszych, i że Krzysztof rzeczywiście zachował w pamięci zasługi, które położył niegdyś Józef Ługowski, względem niego samego i całego ich rodu, więc też rzekł, zatrzymując odchodzącego już młodzieńca:

— Waśb co jesteś w gorącej wodzie kąpany,—widać żeś się nie odrodził od swego ojca...

Nie odmawiam ja bynajmniej mego wstawiennictwa, tylko nie mogę ci zaręczyć, czy ono na cokolwiek się przyda, jeśli starosta wziął na kiel, co mu się nieraz zdarza, gdy kto zadrasnie jego dumę. Ale wówczas może się znajdzie inny jakowys sposób, z pomocą którego można by oswobodzić więźnia bez wiedzy starosty,—i kto wie, czy nie najlepiej chwycić się tego odrazu. Pójdę teraz, będę próbował, zali moje namowy nie odniosą jakiego skutku, waśb zaś za godzinę przyjdź tutaj, to się dowiesz, co masz czynić nadal.

Pan Jan podziękował gorąco podczaszemu, i opuścił jego mieszkanie już z cokolwiek lżejszym sercem, bo mu ukazano nadzieję ocalenia brata. Z gorączkowym niepokojem i niecierpliwością czekał na powrót pana Krzysztofa Zborowskiego i jeszcze godzina nie minęła, gdy już się znalazł znów w jego mieszkaniu. Podczasz powrócił niebawem, lecz z twarzy jego pan Jan wyczytał odrazu, że niczego dobrego nie może się spodziewać.

— Nic nie wskórałem, rzekł Zborowski.—Zły jak dyabeł, i ani słyszeć nie chce o wypuszczeniu więźnia. Innej rady niema, tylko go waszmość musisz wykraść, przekupiwszy ludzi którzy go strzegą, a jeśli Stadnicki będzie się później wściekał to już ja całą sprawę wezmę na siebie,—mnie chyba nie wyzwie na rękę. Więc nim noc nastanie, przygotuj waśb wszystko, aby

później pod osłoną ciemności wyprowadzić jeńca z obozu, po za linię naszych czat. Już ja sam pomówię w tej sprawie z oficerem, który ma dzisiejszej nocy strażę zmieniać przy więźniu,—i możesz być spokojnym, że wszystko pójdzie dobrze.

— Dzięki wam, panie podczasz, boście mi zdjęli kamień z serca, zawołał pan Jan w uniesieniu wdzięczności.

Nie mógł się zdobyć w tej chwili na więcej słów, ale na jego obliczu tak wyraźnie odbijało się zazwyczaj każde uczucie i wrażenie, że podczaszemu dość było spojrzeć na niego, by widzieć że sobie pozyskał odtąd zapalonego stronnika. Rzekł też żegnając go:

— Mam nadzieję że waszmość, idąc za przykładem ojcaswego, pozostaniesz zawsze wiernym naszej sprawie, która dobro Rzeczypospolitej ma na celu.

Słowa te użyte były bardzo zręcznie, i podziałały też jak ostroga na tę naturę gorącą i zapalną; w tej chwili byłby gotów dać się zabić za sprawę Zborowskich.

— Wojewoda poznański chwali się że on tylko umie ludzi kaptować, rzekł do siebie podczasz po jego odejściu. Szkoda że tu nie był, byłby się przekonał że i ja coś potrafię. Toć ten chłopak gotów teraz dla mnie w ogień skoczyć!

Prawda że Stanisław za to będzie się wściekał, zem mu zemstę zdmuchnął z przed nosa,—ale nie czas teraz tem się bawić, kiedy ważniejsze sprawy są na głowie.

Tego wieczora niebo zaciągnęło się chmurami, a około północy deszcz zaczął lać jak z cebra. Pan Ignacy który został zamknięty w stodole, należącej do jakiegoś szlacheckiego folwarku, leżącego niedaleko Mogilskiego klasztoru, przysłuchiwał się zrazu machinalnie szmerowi spadających kropli, a następnie, ponieważ nudno mu było siedzieć w ciemności, postanowił spać. Żołnierze, strzegący go widocznie, gdzieś się pokryli przed deszczem, bo wcale ich kroków nie było słychać. Nagle pod bramą rozległ się jakiś szelest, i odgłos kroków.—Pan Ignacy, sądząc że to zmieniają się strażę, wcale nie zwracał uwagi, kiedy niebawem szelest ten powtórzył się na dachu, tak jak gdyby rozrywano poszycie. Wówczas więzień nastawił ucha z ciekawością:

— Cóż to u licha? pomyślał. Byłoby to oswobodzenie? W takim razie w samą porę przychodzi, bo dalibóg już nudzić się zaczynałem w tej stodole.

Szmer na dachu nie ustawał, najwyraźniej zrywano snopki;—tymczasem u drzwi szcęknięły wrzeczadze i ktoś zawołał półgłosem:

— A gdzie waśb się tam zaszyłeś? Wychoź,—tylko prędzej!

Pan Ignacy nie dał sobie dwa razy tego powtarzać, skoczył natychmiast ku drzwiom, przed którymi czekał już koń osiodłany. Dwie konne postacie wychyliły się w ciemności w tejsze chwili i stanęły przy nim, a ten sam głos co pierwszej ozwał się w pobliżu:

— Szczęśliwej drogi! A pamiętajcież, że więzień umknął przez dach, i ja nie o tem nie wiem!

— Bądźcie spokojni, przeciwnie niedarmo zrobił dziurę w dachu, odparł mu jeden z jeźdźców.

Po tych słowach ruszyli obaj, wzięwszy pomiędzy siebie pana Ignacego

Spotkawszy się z czatami, rzucili im hasło i zostali natychmiast wypuszczeni z obozu. O ile mógł rozpoznać w ciemności, pan Ignacy spostrzegł że zmiierzają ku Krakowowi.

— To jacyś uprzejmi ludzie, pomyślał, chcą mię strzedz w drodze, by mię jakowaś zła przyгода nie spotkała.

Chętka go brała rozpocząć rozmowę ze swymi towarzyszami, ale jeden z nich trzymał się wciąż nieco z tyłu, zwyczajem sług i pacholków, drugi zaś jechał ciągle milczący i nie wyrzekł, ani słówka przez cały ten czas.

— Co u dyabła? pomyślał pan Ignacy. Czy jest niemy, czy też może jakiś Szwab Maksymiliana, który gadać po naszymu nie umie? Ano, zaraz sprobuję...

To pomyślawszy, zbliżył się do milczącego jeźdźca, i rzekł, pochylając się nieco, aby choć trochę dojrzeć go w ciemności:

— Chociaż nie wiem komu mam dzięki złożyć za wyswobodzenie, jednakże powolisz waszmość że to uczynię teraz. Wdzięczny wam jestem nieskończenie, ile że w tej starej szopie zaczynało być dyabło nudnie, i bardzom rad że ją opuściłem nareszcie.

Towarzysz jego wciąż milczał, co zaczynało już niecierpliwie pana Ignacego; rzekł też po chwili:

— Widzę że waszmość musisz chyba nierozumieć naszej mowy, bo inaczej, jako grzeczny kawaler, odpowiedziałbyś mi choć słówkiem. Co prawda; to cieszę się z tego nawet, że jesteś z pod cudzoziemskich chorągwi, bo żal mi zawsze kiedy widzę Polaków, służących sprawie Maksymiliana.

— Czas pokaże, po czyjszej stronie słuszność, odparł nieznajomy krótko. Pan Ignacy, na dźwięk jego głosu drgnął, lecz sam nie wiedząc czy się nie pomylił, jeszcze raz nachylił się ku niemu blisko, chcąc pomimo ciemności dojrzeć rysów twarzy.

— Czy to być może? wyrzekł głosem niepewnym.

— Zdziwiło cię to, żeś mię tu spotkał? od-rzekł pan Jan, zwracając ku niemu głowę.

Więc myślałeś że cię zostawię w rękach Stadnickiego, że będę patrzył spokojnie na to, jak dostałeś się przez nieostrożność, w paszczę wilkowi? Widzę z tego, jak o mnie sądzicie teraz, dokończył z goryczą.

— Nie dlatego się zdziwiłem,—tylkom nie wiedział wcale że tu jesteś, bronił się pan Ignacy.

Prawdę rzekłszy, zawszem to powtarzał, żeś ciężkie głupstwo popełnił, trzymając z tymi przekłętymi Zborowskimi, ale nie idzie za tem, bym cię posądził żeś stracił już serce dla rodziny....

— A wiesz że, komu zawdzięczasz ocalenie? przerwał pan Jan. Oto podczaszemu koronne-mu;—gdyby nie on, nie wiem czybym mógł wiele zrobić;—on prosił za tobą Stadnickiego, a następnie doradził mi co mam uczynić...

— No, co prawda wolałbym zawdzięczać ratunek komu innemu, odrzekł pan Ignacy. Ze wszystkich Zborowskich ten najmniej mi się podoba.

— Bo patrzysz na nich cudzymi oczyma; wasza partya stara się ich oczernić na każdym kroku, podczas gdy oni tylko dobro Rzeczypospolitej mają na celu...

— Powiedz raczej prywatę,—bo im się koniecznie zachciało przewyższyć hetmana, więc choćby cały kraj przewrócić do góry nogami, byle na swoim postawić, przywiedli też sobie tego Szwaba z łbem kudłatym i myślą że im się uda posadzić go na tronie;—niech go lepiej w konopiach postawią, to im wszystkie wróble powystrasza!

— Chciałbym wiedzieć, gdzie myślicie swego Szweda postawić! odrzekł pan Jan, ruszywszy pogardliwie ramionami. Przynajmniej o arcyksięciu wiadomo, że ma rycerską duszę, a o tamtym wszyscy powiadają, że ledwie na konia wsiąść potrafi. Ale niedziw, że taki król musiał się podobać panu rektorowi padewskiemu...

— Przestań! zawołał pan Ignacy, chwytając go za rękę.—Jeśli chcesz byśmy się rozstali w zgodzie, to nie mów nic o hetmanie... Już czterem Zborowczykom uszy poobcinałem za rektora padewskiego, bo tego jednego nie mogę słuchać ciepliwie.

— Więc lepiej zaprzestańmy zupełnie mówić o tych rzeczach, odparł pan Jan, gdyż inaczej nie unikniemy kłótni, a i jabym nie chciał tego, bo kto wie, gdzie i jak znów się spotkamy...

Jechali czas jakiś w milczeniu, aż wreszcie ujrzeni w szarzącym brzasku mury i baszty Krakowa, odcinające się czarno na horyzoncie.

— Tutaj się rozstaję, rzekł pan Jan, wstrzymując konia. A pamiętaj nadal być ostrożniejszym i nienawijać się przed oczy starości żygwulskiemu.

Chwilę jeszcze stali w milczeniu jeden naprzeciw drugiemu, aż wreszcie jednocześnie wyciągnęli ku sobie ręce na pożegnanie:

— Bądź zdrow, bracie, rzekł pan Jan, ściskając mocno dłoń podaną, i powiedz... albo nie, lepiej nic nie mów...

Po tych słowach zawrócił konia i zniknął w mgłę porannej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gliński w dramatach.

3 okazyi wystawienia „Almanzora.“

(Dalszy ciąg).

Dramat p. t. „Anna Firlejówna“ osnuł Gliński na podaniu ludowem. Rzecz dzieje się w pierwszej połowie XVII-go wieku. Aczkolwiek postacie dramatu są wytworem fantazyi poety i nie z historią nie mają wspólnego, utrzymał je przecież Gliński w stylu: mówią one i działają tak, że czynią wrażenie najzupełniejszej prawdy, co, jak wiadomo, jest w dziełach scenicznych rzeczą pierwszorzędno znaczenia.

Streszczać dramatu nie będę; niewdzięczna to praca i nieprzydatna: z kilkudziesięciu suchych wierszy niczego się czytelnik nie dowie; pióro sprawozdawcy nie odda mnóstwa piękności, w które „Firlejównę“ autor oddział po królewsku. Natomiast radzę najszczerzej: weźcie książkę i odczytajcie: upoi was ona wonią poezyi wiosnianą i rzuci w serca wasze, szarzyzną życia zmęczone, złoty promień. Wówczas przekonacie się dowodnie czem jest poeta, a czem krytyk; wówczas z pogardą spojrzycie na oślinione jadem zawiści artykułki pismaków, a książkę pieśniarza przycisniecie do serca. I tu jest tryumf i zwycięstwo pieśni!

Anna bohaterka dramatu, od początku do końca przyciąga do siebie i nęci, jak kwiat cudny, a spotykany rzadko. Postać to przesliczna, urocza, wiotka, a jednak mocna duchem; tak piękna, że może ona jedna mniej się mi prawdziwą wydaje: to prędzej wizya z za świata, niż człowiek. Nie czynię jednak z tego powodu zarzutu autorowi: przeciwnie! mojem zdaniem powinna być w każdym utworze scenicznym choć jedna postać wyższa nad zwykłą ludzką miarę: podnosi to nastrój dzieła i do ideału go zbliża. Powie mi kto może: „Nie! rzecz sceniczna ma być tylko wiernem, odzwierciedleniem rzeczywistości, niczem więcej!“ Odpowiedź łatwa: Szekspir, Gete, Szyller, Wiktor Hugo, Słowacki, dając tło prawdziwe i z rzeczywistością zgodne, (co jak na wstępie wspomniałem jest rzeczą wielkiego znaczenia) najczęściej, a nawet prawie zawsze jedną postać, na pierwszy plan wysuniętą, apoteozującą; wynosząc, albo strącając, robiąc czemś mniej, czemś więcej, lecz już nie człowiekiem.“

„Annę“ umiłował autor; poznać to można odrazu! to też wlał w nią tyle poezyi, taką ją opromienił aureolą i takim owiał czarem, że czytelnicy (a z pewnością i słuchacze) z niepokojem śledzą przebieg jej losów tragicznych. Na scenie „Anna“ czyniłaby wrażenie ogromne! Rola to dla znakomitej artystki, bo tam jest cała skala uczuć: od słodkich lub rzewnych do tak potężnie dramatycznych, że zda się, zbraknie głosu w piersi kobiecej, by je słowami wyrazić. Ach! gdybyż druga Modrzejewska!

Doskonałą też postacią jest Firlej wojewoda, ojciec Anny, charakter nad wyraz piękny i szlachetny! Jakiż to ojciec wzniosły! Jakiż on wielki, kiedy, zduszając ból szalony, przebacza córce wszystko... Jaki wspaniały wówczas, kiedy Kazanowskiemu w oczy ciska obelgę, za wrota go wyganiając, i wtedy wreszcie, kiedy

zabija się nad trupem Anny! To szekspirowska postać!

Wyborny jest kapelan, ksiądz-rubacha; udał się też znakomicie Glińskiemu Roch Szczur, rezydent na dworze wojewody, tchórz, pijaczyna, samochwał, ale w gruncie poczciwe chłopisko. Przypomina mi on nieco Zagłobę; nie może tu być jednak mowy o naśladownictwie, tembardziej, że „Firlejównę“ napisał Gliński przed ukazaniem się „Ogniem i mieczem.“ Quid, Włoch, lutnista na dworze Firleja, to czarny charakter w dramacie, chociaż i ten ma swoje piękne chwile: oszalał z miłości; miłość pchnęła go na drogę mactw zbrodniczych, jest nie-szczęśliwy!—to tłumaczy wiele! Już to w ogóle nie lubi Gliński stwarzać typów wybitnie ujemnych; to rys charakterystyczny! Taki naprzykład Kazanowski: ani on zły, ani dobry! śmieszny nieco wielki pan! kiedy urażono jego dumę, pieni się i wścieka; na pal wbiec każe rywala swego Mścisława i szturmem bierze zamek wojewody: królewiatko butne!

Postać to bardzo prawdziwa! Poglaskaj go, schlebiaj mu,—jak wosk ugnie ci się w palcach i złotem cię osypie; podrażń: do oczu ci skoczy jak żbik raniony! Tacy to byli właśnie owi magnaci XVII-go wieku, z winy których potoki krwi zalały ziemię kresowę! Smętne wspomnienie przeszłości!

Obok Anny Firlejówny drugim bohaterem dramatu jest Mścisław Bogorya, jeniec wojenny wojewody; jednak o sercu orłem, wódz Zaporozka! wygnaniec to z krain ojczystych, syn nie-szczęśliwej Hanki, postaci odgrywającej w sztuce dużą rolę.

A ta Staszka! Widmo fantastyczne! napoły niewiasta, demon napoły! Mścić się pragnie i mści się, bo wycierpiała więcej niż siły ludzkie mogą! Tragizm wieje od niej i w pierś czytelnika jak gromem uderza! Jest okropna całość i jednocześnie tak litości godna!

Całość „Firlejówny“ jest według mnie wysoce sceniczną. Scen cudownie pięknych i wstrząsających bardzo dużo, za dużo może! Od pierwszej do ostatniej sceny uwaga czytelnika trwa w ciągłym napięciu. O wierszu czyż mam mówić? Jest on naprzemian pieściwy, jak technicznie róż w noc księżycową, namiętny jak uścisk dwojga kochanków ognistych, gorący, jak wiatr pustyni, potężny jak loskot gromów, kiedy Bóg ży wioły rozwichrzy!

Od chwili objęcia obowiązków reżyserskich przez p. Ładnowskiego nastąpiła wydatna zmiana na lepsze. Zyskała na tem publiczność, zyskał i teatr: słyszeliśmy, że rok ubiegły był wyjątkowo pomyślny pod względem finansowym dla sceny warszawskiej. Rzecz tedy jasna jak słońce: należy wystawiać to, co się publiczności podoba i co kasę napełnia po brzegi. Teraźniejszy reżyser rozumie to doskonale. Obyż wytrwał jaknajdłużej na swem pięknem i pożytecznem, acz tak ciernistem stanowisku!

„Annę Firlejównę“ chciałbym jaknajrychlej obaczyć na scenie. Mam nadzieję, że spełni się to niezadługo. Pewny jestem, że ogół z zapalem powitałby to dzieło tak piękne i kolorowe. Na miłość Boga! Przecież polski teatr ma obowiązek pamiętać o twórczości polskiej! Ładnowski w tym właśnie dąży kierunku. Wdzięczność najszczerza należy mu się za to!

Utarło się mniemanie, że poeci, do rymów zwyczajeni, mniej biegle zwykłą władają prozą. „Bolesław Śmiały“ Glińskiego posłużyć może za najoczywistszy dowód, że twierdzenie owo jest mylnem i niedorzecznem. Wprawdzie nie zwykła to proza: język archaiczny napoły, mocą i melodyjnością do rymowanej zbliżony mowy, aleć zawsze nie wiersz to, a jednak taki piękny, taki lotny i metalicznie brzmiący, jak dźwięk srebrnego dzwonu!

W „Bolesławie Śmiałym“ dowiódł Gliński najwyraźniej, że w wysokim stopniu posiada poczucie sceny. Układ doskonały, akcja rozwija się prawidłowo i potężnie z każdym aktem, z każdą sceną nieledwie. Postacie króla i biskupa ogromne! Każdy z nich jest wielko-

ścią w swoim rodzaju. Szermierze to równej miary!

Dziwnie sympatyczną postacią jest ów nie-szczęśliwy Bolesław! Współcześni grom potępienia cisnęli na niego; potomni nie starali się jakoś, czy nie mogą wyjaśnić tajemnicy osobę króla osłaniającej jak mgłą. Dramaturgowie i powieściopisarze jednostronnie brali Bolesława: według nich był on zapalczywym, mściwym, rozpustnym grzesznikiem, zbrodniarzem okropnym, zabójcą świętego—i niczem więcej.

A jednak!... a jednak ten król wzgardzony i potępiony, ten król, który jak meteor błysnął i zniknął bez śladu—nie zasłużył na tak bezwzględny wyrok. Klątwa rzucona tyle wieków nie powinna trwać tak długo: należało przecież zwrócić uwagę na wielką acz posępną wizję z przeszłości, oczyścić ją, jeśli się dało, lub do pewnego stopnia usprawiedliwić chociaż.

Odwagę tę miał Gliński. Z miłością wpatrzył się on w potężną postać króla przeklętnika i wygnańca, porównał wszystko to co mówią o nim kronikarze nasi i oddał w tragedyi swojej to, co się należało temu co cierpiał wiele, a często niezasłużenie. Święty Stanisław w tragedyi Glińskiego nie blednie bynajmniej przy Bolesławie: to dwie indywidualności równej miary: starcie się ich,—to walka olbrzymów; dosyć byłoby już tej walki tylko, by tragedję wypełnić po brzegi.

Podziwiać należy bezstronność Glińskiego i wnikięcie w ducha epoki i ducha ludzi; jeśli Stanisław stał jako opoka w obronie kościoła, to jednak i Bolesław niejednokrotnie bojuje za dobrą sprawę.

A ta wzmianka o Brzetysławie Czeskim? Dla znającego dokładnie historję rzecz wielkiej wagi: daje nam ona poznać stosunek wzajemny obu bohaterów tragedyi—i pokazuje po czyjej stronie jest sympatya poety.

Z postaci większe role odgrywających w omawianem dziele Glińskiego na długo zostaje w pamięci: Mścisław z Bużenina i Krysta. Ona, rozkochana w królu bohaterze, świata po za nim nie widzi i wszystko dla kochanka poświęca: i siebie—i męża—i cesę swoją—i życie w końcu. On wspaniały jest w nienawiści swej bez granic: chwila, kiedy zabija się na dworcu Starzów w Morawicy wstrząsa czytelnikiem, a porwałaby bezwzględnie słuchacza: bodaj czy to (obok precudnego zakończenia) nie najpiękniejszy moment tragedyi.

Doskonały jest chytry i przebiegły Czaplą; wypukło również wyszedł Zadra, pacholek poprzedniego. W ogóle wszystkie postacie dopasowane są do siebie wysmienicie. W scenach zbiorowych jest Gliński nieporównany: jaki tam ruch! jakie życie! jakie odczucie tego świata zamierzającego od tyłu wieków! Język „Bolesława“ zaszczyt przynosi autorowi. Archaizmów w nim niewiele (i bardzo dobrze świadczy to o smaku artystycznym Glińskiego), ale cały ton, składnia, moc dziwna tej mowy przenoszą czytelnika w czasy pierwszych Piastów, z rozkoszą wsłuchuje się ucho w te dźwięki chropawe lub pieściwe naprzemian, a zawsze jasno i dokładnie tłumaczące myśl mówiącej postaci.

Gdyby tylko jednego Bolesława śmiałego napisał Gliński, jużby nazwisko jego nazawsze pozostało musiało między imionami najlepszych poetów naszych.

Rzecz to najbardziej sceniczną, najprawdłowiej zbudowaną ze wszystkich utworów dramatycznych Glińskiego.

Artur Oppman.

(Dokończenie nastąpi).

Zabobony, czary i czarownice w Królestwie Polskiem.

(Dokończenie).

Te są główne zabobony ludu naszego. Przypatrzawszy się im bliżej, zauważymy, że obok wielu z nich, noszących cechę grubego egoizmu, ciemnoty i względów czysto praktycznych, są niektóre odznaczające się szerszym poglądem na życie, zastanawianiem się nad jego objawami, a nawet niepozabawione zmysłu poetycznego. Fantazyja ludu—zawsze żywa i płodna—krasi i barwi najzwyczajniejsze objawy życia codziennego tęczą swych wrażeń i uczuć, niezawsze jasnych—szczerych jednak i pięknych niemal zawsze. Lud patrzy na życie oczami zdrowego rozsądku, umie jednak czuć głęboko, odczuwa duchową i piękną stronę życia i stara się ją ubarwić i wyidealizować po swojemu, co go nieraz—jak widzieliśmy—sprowadza na błędne ścieżki i bezdroża przesądów.

Przejdźmy teraz do czarów właściwych i do ich sprawców, t. j. czarowników i czarownic.

Czart—według wierzeń ludowych—pragnąc szkodzić ludziom, rzadko kiedy występuje osobiście jako główny działacz, lecz zwykle używa ku temu—jako pomocników—innych ludzi, którzy zaprzędali mu duszę i ciało swoje i za wyrzeczenie się zbawienia wiecznego otrzymali w zamian od czarta moc nadludzką. Ludzi takich lud zowie czartownikami albo czarownikami.

Kto chce zostać czarownikiem, ten powinien wyjść o północy w pewne odludne miejsce, za pomocą formułek tajemnych i zaklęć przywołać złego ducha, a gdy się ten stawi osobiście—wyrzec się przed nim uroczycie Pana Jezusa, Matki Jego Najświętszej, Patrona swego i wszystkich Świętych; przyrzec mu niebywania nigdy w kościele na Mszy Świętej, oddać w moc jego na wieki ciało i duszę swoją i wszystkie te warunki podpisać na cyrografie krwią utoczoną z serdecznego palca. Po wykonaniu tych przepisów człowiek staje się już własnością czarta, a ten mu wzamian używa władzy czarnoksiężkiej, która ma odtąd służyć czarownikowi lub czarownicy na własną ich korzyść a ku szkodzi innych ludzi. Układy podobne najczęściej zawierały dyabli z kobietami, ztąd więcej bywało czarownic, niż czarowników. Czarownicami bywały zwykle stare i brzydkie baby, których wygląd zewnętrzny mówił się zdawał o ich stosunkach z siłą nieczystą.

Wiara w czarownice głęboko była zakorzeniona nie tylko w ludzie, ale wśród sfer najwyższych. Nawet z pośród osób wysokiego pochodzenia miały być niektóre czarownicami. Jedna z wielkich pań na Litwie, była posądzana o czary. Równie złej sławy używała Bona, czemu wiarę dawał sam Zygmunt August.

Czarownicom przypisywano moc nadludzką, wielką a różnorodną. Miały one władzę sprowadzania burzy lub suszy, gradu lub nieurodzaju na pola, mogły zadawać uroki i sprowadzać cięższe lub lżejsze choroby i niemoce na ludzi i na bydło; przyrządzały napoje trujące lub wznecające zalotność; czyniły szkody w nabiale, drobiu i t. p.

Gołębiowski w dziele swoim: „Lud polski, jego zwyczaje i zabobony“ podaje wiele szczegółów, dotyczących się czarownic i czarów przez nie zadawanych. Gdy np. jedzenie było zaczarowane, można to było poznać po ogniu lub kipieniu wody. Należało wówczas garnek uchem do ognia obrócić, co natychmiast sprowadzało ten skutek, że czarownica musiała przybieść do domu, któremu czarami swemi szkodzić zamierzyła. Dość więc było, aby do chaty weszła jaka kobieta, by ją mieszkańcy za czarownicę uznali, szczególnie, jeżeli przed tem już wątpili o przychylności tej kobiety ku sobie.

Niezawodnym środkiem odpedzenia czarownicy od domu miało być przytwierdzenie końskiej podkowy do progu domostwa. Progu, w ten sposób obwarowanego, żadna czarownica przestąpić nie ważyła się.

Stanisław Duńczewski w najpopularniejszym swem dziele z dobrą wiarą nam opowiada o różnych rodzajach czarów i czarownic. Według niego - w żadnym innym kraju niema tylu czarownic, jak u nas w Polsce. W ogóle czarownice polskie dzielą się na trzy kategorie: na cioty, baby i właściwe czarownice; prócz tego są jeszcze ożogi i wróżki.

Cioty mają moc czynienia z liści myszy, sprowadzania kołtunów oraz zadawania uroku oczami. Baby zaęgnują choroby, szepejąc i mrużąc zaklęcia, leczą rany lub skaleczenia przykładając sierp, nóż lub kosę do bolącego miejsca.

Czarownice właściwe przyrządzają różne trujące lub szkodliwe napoje i maści z ziół ciału lub rozumowi szkodzących jak np. z szaleju, lubystku, sawiny, bylicy święconej, albo też z innych rzeczy jako to: trupich kości, prochu, popiołów.

Mają pewne oznaczone miejscowości, dokąd się schodzą w dni pewne, aby tam swe sejmki odprawiać lub zażywać biesiady i zabawy. Miejscem takim, najslawniejszym w kraju całym, ma być Łysa góra, dokąd z różnych stron i okolice śpieszą w każdy pierwszy po nowiu czwartek. Sposób przeniesienia się na Łysą górę choćby ze stron najodleglejszych jest następujący: nasmarowawszy się najpierw tłustością dzieci przed chrztem Św. uduszonych, wsiadają na miotły, ożogi i łopaty—jakby na konia—lub też w niecki jak do karety, wylatują powietrzem i w jednej chwili przenoszą się na miejsce. Siadając do tak zaimprovizowanego zaprzęgu, wymawiają wyrazy zaklęć bardzo starożytnych: „Wiesz nie wiesz—biesz nieś!“ Gdy która z czarownic nie może się znajdować na miejscu zgromadzenia ani też przyjmować udziału w sejmach z dyablami, bierze wtedy do ust dymu i widzi doskonale wszystko, co się tam dzieje. Zwykle mają czarownice pomocnego dyabła, którego trzymają w pierścieniu lub trzewiku; ten na pierwsze ich wezwauie się jawi i wypełnia rozkazy lub dopomaga im w czarach.

Dotąd jeszcze głęboko jest zakorzeniona wiara u ludu naszego, również jak na Ukrainie i na Podolu, że czarownicę odbierają krowom mleko. Nieraz wydarzać się miało, że czarownica, wbiwszy kolek do słupa w oborze, cebami zeń mleko doła, które dyabeł od krów sąsiadów odbiera a do niej przynosi. Aby zabezpieczyć się od takowej szkody, gospodynie mają zwyczaj dotąd—na Podolu i Wołyniu—zawieszać snopek nad oborą, lub też znaczą wrota kładą święconą na Trzy Króle.

Jest i inny sposób do odstraszania czarownic od bydła służący: w płótno, przez które cedzi się mleko, wkładają szpilki, w tem przekonaniu, że ile szpilek się wetknie, tyle kolek dręczyć będzie czarownicę, która poddaje mleko. Lud wierzy, że na Św. Jura, t. j. Jerzego, na Zielone Świątki, na Św. Jan w nocy czarownice chodzą nagie i ostrugują po trasce z wrót i odrzwi, które to stróżki rzucają w szkopiec. Z rana zbierają z trawy rosę po drodze, którądy zwykle bydło w pole pasę się wychodzi, i zakopują tam czary, by mleko krowom odebrać.

Korzystając z ciemnoty ludu, nieraz baby udające czarownice duże dla siebie ciągną zyski. Jest podanie, że pewna baba w Lubelskiem za czarownicę uchodząca, nie mogąc razu pewnego od sąsiadów otrzymać czego żądała, wykopała w lesie przy drodze dołek, położyła weń jaja gęsie i siadłszy na nich jak kura groziła, że wysiedzi grad tak wielki jak owe jaja.

Cała niemal ludność wioski, przerażona bo wierząca baby pogroźkom, zbiegła się do niej niosąc, kto jakie miał dary w jadło lub pieniądze, byleby przebłagać gniewną czarownicę i odwrócić nieszczęście. Nie może być wątpliwości, że nieraz chytrzejsze baby w sposób podobny wyzyskiwały łatwowierność ciemnego ludu.

Mniej było mężczyzn—czarowników, z których zasługują na wymienienie wróżbici i czarownicy—myśliwi. Wróżbici okazywali lekarską pomoc, leczą za pomocą ziół, z których przyrządzali napoje i leki. Do wróżbitów zwracał się zwykle chłop, któremu zginęło bydło lub jaka inna strata spotkała. Nieraz złodziej, dowiedziawszy się, że okradziony przezeń gospodarz udał się po radę do wróżbity, sam podrzucał poszkodowanemu jego stratę, by w przeciwnym razie nie ściągnąć na siebie gniewu możnego czarodzieja. Chłop zaś, któremu się nagle sama strata wróciła, przypisuje to cudownej potędze czarów wróżbity.

Podobnie jak w całej owoczesnej Europie, lub i u nas, oskarżonych o czary pławiono w rzece lub stawie dla próby, zaczem przekonanych w zbrodni karano przez spalenie na stosie.

Stare baby, dzięki obszerniejszej odzieży, jaką nosiły, będąc pławione nie tonęły odrazu, co było w oczach ludu i sędziów nieodbitym dowodem ich stosunków z dyablem.

Prawo polskie samo w prawdzie nie stanowiło kar za to przestępstwo, lecz przyjęło w tem zasadę prawa magdeburskiego, które oskarżonych o czary poddawało pod jurysdykcję sądu miejscowego. Rys owych zwyczajów przechował się w jednej z satyr Krasickiego:

„...ująwszy gromnicę
Palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę,
Chcąc jednak pierwej dociec zupełnej pewności
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości.
Zdejmowały uroki stare baby dziecku,
Skakał na pustej baszcie dyabeł po niemiecku,
Krzewiły się kołtuny, czarami nadane,
Gadały po francuzku baby opętane,
I czkając na krużgankach i miejscach cudow-
[nych
Nabawiały patrzących strachów niewymownych.“

Jeszcze za Stanisława Augusta stosowane bywały tego rodzaju kary. Dopiero wyrokiem sejm w r. 1778 surowo zakazał sądenia spraw o czary i kary stosu. Jan Bohomolec dziełem wówczas wydanem: „Dyabeł w swojej postaci“ wiele się przyczynił do wykorzenia ze społeczeństwa naszego przez tyle wieków trwających w niem przesądów.

Stanisław Ostrowski.

O ZACHODZIE.

Zadał wicher—od wschodu dwie ogromne [chmury,
Rozpostarłszy całuny, ciągną się jak smoła—
Tumany liści, kurzu wznoszą się dokoła,
Łącząc się w jakiś taniec piekielny, ponury...

Konary drzew, gałęzie, wzięte na tortury,
Skrzypią, trzeszczą pod dłonią zniszczenia [aniola—

Na zachodzie pas nieba, sięgający siola,
Krwawi się, jak szmat ciała, odarty ze skóry...

Odgadły wróżbę nieba umysły prostacze—
Opustoszały pola—cień smutku widomy
Wcisła się w strzech omszałe, siwe pęki słomy...

Nie błyska się na niebie i nie huczą gromy—
Tylko gdzieniegdzie dziecię w chałupie zapłaczę,
Lub stado wron się wzbije—i dziko zakraczę...

Wiktor Dzierżanowski.

Z AMERYKI.

New-York w Marcu.

Mieliśmy tu, niedawno słynnego „podbiegunowego“ gościa, d-ra Nansena, który wygłosił swoje poglądy na przygotowywane się wyprawy. Co się tyczy wiadomości o balonie André'go (iż go widziano w Kolumbji brytyjskiej), d-r Nansen wyraził się, że nie przykłada żadnej wagi do podobnych pogłosek; słynny podróżnik dodał jednak; iż obaw o André'go nie podziela, to zaś, iż nie mieliśmy o nim przeszło rok żadnej wieści, nie dziwi Nansena wcale: według jego przypuszczeń, wiadomość o Andrem przyjdzie do nas w sierpniu r. b.

O amerykańskiej podróży projektowanej lejtenanta Pirli, dr. Nansen mówi, iż wierzy w pomyślne rezultaty ekspedycyi. Przechodząc do ekspedycyi, której Swerdrup ma zamiar dokonać w r. b., dr. Nansen tak się odezwał: „Cel podróży polega nie na tem, iżby osiągnąć biegun, lecz zbadać północne i wschodnie brzegi Grenlandii. Swerdrup i jego towarzysze prawdopodobnie dwie zimy spędzą po za domem. „Fram“ który przerobili dla tej wyprawy i którego pokład pokryli dachem, popłynie wzdłuż północno-zachodniego brzegu Grenlandii tak daleko na północ, jak tylko będzie można, a ztąd podróżnicy odbędą dalszą podróż na saniach, do których będą zaprężone psy. Określenie północnych granic Grenlandii jest ważną pracą geograficzną, którą musimy dokonać. Należy jeszcze określić kierunek cieśniny Beringa, na to potrzeba lat pięciu, ale rezultaty tych usiłowań są nieocenione. Badanie przestrzeni antarktycznej stanowi kwestyę wysoce interesującą i myślę, że ekspedycya belgijska już w drodze się znajdująca dokona pożytecznej naukowej pracy.“

Uwagi d-ra Nansena o wyprawach do biegun północnego wzbudziły w naszym świecie naukowym wielkie zainteresowanie.

Wyrazem zmiany poglądów obywateli Stanów Zjednoczonych na łączność naszych interesów z interesami rasy anglo-saskiej jest w tej chwili uroczysty protest przeciw ratyfikowaniu traktatu anglo-amerykańskiego. Protest ten zostanie wniesiony do senatu, w Waszyngtonie, podpisały go na razie osobistości wpływowe z New-Yorku, Filadelfji, Chicago, Waszyngtonu i Bostonu; zbieraniem dalszych podpisów zajmuje się energicznie *Anti British Alliance* w New-Yorku. Po stronie protestujących znajduje się Mc. Kinley, który w ostatnich czasach wykazał daleko więcej politycznego rozumu i dyplomatycznej przebiegłości, aniżeli jego poprzednik Cleveland. Bierze się on zrezygnie do anektowania wysp Hawajskich, nie zważając przytem na nikogo. Jednocześnie Mc. Kinley sprzyja powstańcom na Kubie widocznie a ostrożnie tak, że dumna Hiszpanja politykuje wobec „grzeczności“, wyświadczanych przez amerykańskie pancerniki, gdy te odwiedzają forty Kubańskie i gdy ich oficerowie rozdają szczerą ręką wsparcia zubożałej ludzkości. Cierpliwość Hiszpanii jednak zaczyna się w ostatnich czasach wyczerpywać. Mc. Kinley potrafi nadto partyę republikańską utrzymać w karchach posłuszeństwa, nie pozwalając jej czynić ustępstw na rzecz zwolenników srebra. Zbuntowanych senatorów republikańskich w kongresie przyprowadził prędko do porządku za pomocą izby poselskiej, która odrzuciła uchwałę senatu, zalecającą obligacje rządowe wykupywać srebrem. Republikański prezydent Stanów Zjednoczonych kieruje tedy sprawami zewnętrznymi i wewnętrznymi tutejszej rzeczypospolitej,—zobaczymy jak się z zawikłań najświeższych wywiąże.

Gdy to się dzieje w praktyce bieżącej, w umysłowym ruchu Ameryki mamy do zaznaczenia parę książek, które się ukazały niedawno.

Świeżo na półkach księgarskich leży broszurka, której autorem jest mnich indyjski Swami

Virekananda. Pierwszą połowę książeczki wypełniają filozoficzne uwagi o przyrodzie, druga—zawiera przepisy osiągnięcia panowania nad sobą. Autor w rezultacie swoich dociekań przychodzi do wniosku, iż wszystkie religie uważa za prawdziwe. Literatura religijna—w różnych kierunkach—rozwija się w Ameryce bardzo obszernie. Dużem powodzeniem np. cieszy się książeczka, p. t. „The Religion of science“, napisana przez Hepelera, który dąży do pogodzenia religii z nauką. Hepeler redaguje również pismo, szerzące tę samą tendencję. Oto, co czytamy na tych kartkach: „Powinniśmy wnieść z jednej strony ogień religijnego entuzjazmu w dziedzinę filozofii i wiedzy,—z drugiej—ducha niepoddającego się kompromisom krytycyzmu i badania naukowego do przekonań religijnych. Powinniśmy poznać, iż wiedza jest tylko inną nazwą dla Objawienia. Ale „religia wiedzy“ autora amerykańskiego uznaje na prawdę tylko to, co jest naukowo dowiedzione. W całej tej doktrynie widzimy mnóstwo reminiscencji z filozofji XVIII w. i dzisiejszych odłamów pozytywizmu.

Nic nowego pod słońcem.

Pomimo to książka przynosi z sobą pewne techniczne świeże, żądając abyśmy prawdę przyjmowali taką, jaką jest.

Pod wrażeniem grożącego niebezpieczeństwa wojny Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią, o czem wspominałem wyżej, notujemy w ostatniej chwili parę cyfr, oświetlających sytuację. Armia hiszpańska liczy na stopie pokojowej 128,183 ludzi, na stopie wojennej 183,972, 14,250 koni, 590 dział; załoga na Kubie wynosi 200,000 ludzi. Marynarka hiszpańska liczy 18 wielkich pancerników, 35 większych okrętów wojennych i 682 dział.

Stany Zjednoczone liczą ludzi zdolnych do noszenia broni przeszło 10 milionów; faktycznie jednak armia amerykańska liczy 141,268 ludzi i to przeważnie milicyi, która nigdy nie miała karabina w rękę. Marynarka amerykańska posiada 82 rozmaitej wielkości okręty wojenne z 556 działami. Aby ocenić należyte siły obu przeciwników uprzytomnić sobie wypada, że Stany Zjednoczone w razie wojny rozstrzeliwać muszą siły swe morskie na bronienie rozgałęzionego swego handlu, gdy handel zamorski Hiszpanii wcale prawie nie wchodzi w rachubę. Ciekawa rzecz, co niedaleka przyszłość pokaże?

Z miejskich wiadomości notuję budowę wzorowego hotelu narodowego, który przynosi zaszczyt końcowi stulecia. Gmach, przeznaczony na mieszkanie dla robotników, kosztuje 3 mil. rubli i posiada wszystkie wygody nowoczesne. Składa się z dziewięciu pięter, dach ma szklany, ściany są emaliowane,—słowem piękny to pałac. Podwórze są ozdobione palmami; wewnątrz zabudowań znajdują się wszystkie wygody, jako to: łaźnie, czytelnia, sale koncertowe. Lokatorów hotel ten posiadać będzie 1,500, każdy zaś z nich będzie płacił za pokój 25 kop. dziennie. Właściciel dowodzi, iż utrzymanie domu się opłaci—a z czasem kapitał się zamortyzuje.

W r. 1858 władze amerykańskie żądały od parostatków, utrzymujących komunikację ze Starym Światem, aby przebywały 12 węzłów na godzinę, w r. 1883 szybkość ta została doprowadzona do 15 węzł., w r. 1884 na skutek premium na konkurencyę ogłoszonego zbudowano statki: „Bourgogne“, „Champagne“, „Bretagne“ i „Gascogne“, które robią 16 do 17 węzłów na godzinę. Anglicy jednak i Amerykanie tem się nie zadowolili i w r. 1891 towarzystwo transatlantyczne zbudowało parostatek „Lauraine“, robiący na godzinę 19 węzłów. W r. 1893 towarzystwo angielskie Coonard zbudowało statki „Compania“ i „Lucania“, długości 189 metrów,—statki te na próbie dokonanej zrobiły 22 węzły w ciągu godziny. Każdy z tych statków waży 20,618 ton, a pasażerów zabrać może 1,400 osób. Jednocześnie Niemcy zbudowali dwa statki, robiące po 22 węzły na godzinę, posiadające długości po 197 metrów. Konkurencya ta skłoniła towarzystwo transatlantyczne do proszenia rządu Stanów Zjednoczonych o pozwolenie na budowę trzech jeszcze parostatków

o szybkości 22 węzłów na godzinę; w razie jeżeli do roku 1903 zostaną poczynione nowe ulepszenia w tej mierze, towarzystwo obowiązuje się zbudować do tego czasu jeszcze jeden statek o większej szybkości ruchu.

Będziemy tedy wkrótce jeździć do Europy o wiele prędzej, niż to ma miejsce w dobie dzisiejszej.

Z. Rawicz.

Kronika działalności kobiecej.

— Bardzo pożyteczną i umiejętnie napisaną broszurę wydała p. Kuczalska-Reinschmit, we Lwowie. Broszura nosi tytuł: „Nasze cele i drogi, szkic do programu działalności kobiecej.“ Po treściwej notatce historycznej, w której autorka uwypatnia stanowisko kobiety polskiej od dawna już wyższe, poważniejsze i pożyteczniejsze u nas, niż gdziekolwiek indziej, kreśli obecny stan rzeczy pod względem wychowania, wykształcenia i pracy niewieściej, a zaznaczywszy współczesne obowiązki kobiety, streszcza swój program w szeregu bardzo trafnie postawionych żądań, z których główniejsze są: racjonalniejsze wychowywanie młodego pokolenia, uporządkowanie i opieka nad zawodową pracą kobiet, podnoszenie ogólnej etyki w społeczeństwie przy współdziałaniu kobiet i szersze dopuszczenie tychże do udziału w oświacie najniższych sfer i w zarządach dobroczynności publicznej. Broszurka robi dodatnie wrażenie znajomością przedmiotu opracowywanego i miary spokojnej w uzasadnianiu rzeczy która lepiej daleko przekonywa niż najgorętsza rozprawa postawiona na ostrzu broni.

— W Lutym otwartą została w Londynie nowa fabryka jedwabiu, w której przeważnie tylko kobiety pracować będą. Fabryka ta zawdzięcza swe powstanie szkole przedzenia i tkactwa, założonej przez p. Elizę Bayley i jest ściśle z tą szkołą połączona bo uczennice w fabryce praktykują. Fabryka znajduje się w okolicy Londynu ale już na wsi i posiada swe schronienie, w którym robotnice mieszkają. Całość przedsiębiorstwa przedstawia się jako dobrze obmyślany krok naprzód na drodze samodzielnej pracy zarobkowej kobiet.

— W Szwajcaryi powstało stowarzyszenie, liczące na razie dopiero 10 pań, które postanowiły wziąć w swą opiekę ptaki tak srogo wytępiane dla piórek i skrzydełek służących ku ozdobie kobiecych kapeluszy. Panie te, mieszkanki miasta Aaran ogłosiły w pismach, że przez lat 10 obowiązują się nie nosić żadnych ozdób z piór i zachęcają swe współziemianki z całego kantonu do przyłączenia się wraz z niemi ku ochronie ptaków tyle przyjemności dających ludziom swym swiergotem lub śpiewem po ogrodach i gajach.

— Hr. Marya von Linden znakomita przyrodniczka została odznaczoną honorowym dyplomem wielkiej nagrody „La-Case“ za swe naukowe badania nad rodowodem motyli, którego ślady i wskazówki na skrzydłach owadów się znajdują. Wielką nagrodę tegoż imienia w kwocie 10,000 franków otrzymali dotychczas profesoria: Lenard w Heidelbergu i Röntgen w Würzburgu.

— Wystawa stowarzyszenia artystek w Berlinie przedstawiała się bardzo zajmująco, z powodu licznego w tym roku udziału uczestniczek ze stron rozmaitych. Widniały tam znane już nazwiska malarki Maryi Kirschner z Berlina, Berty Schrader z Drezna, Berty Wegmann, dunki, Julii Wolff z Poznania i innych; duży postęp od lat kilku spostrzegają sprawozdawcy a cała wystawa przedstawia się jako owoc dojrzałej pracy i dość wybitnego natchnienia.

Z bieżącej chwili.

— Sprawa założenia w Warszawie politechniki została rozstrzygnięta pomyślnie. Z początkiem roku szkolnego będzie otwarty instytut politechniczny Imienia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana Mikołaja II; politechnika posiadać będzie na początek trzy wydziały: inżynierski, górniczy i chemiczny. Liczbę słuchaczy określono na 750 studentów.

— Wielki dramaturg skandynawski, Henryk Ibsen obchodził w d. 20 b. m. 70-tą rocznicę swoich urodzin. Cały świat literacki i artystyczny wziął udział w tej uroczystości, składając hołd sędziwemu autorowi. Wielki pisarz dramatyczny, autor: „Podpór społeczeństwa”, „Wroga ludu”, „Nory”, „Dzikiej kaczkę” i t. d., był początkowo aptekarzem, wkrótce jednak poczuł w sobie powołanie pisarskie i wiernie oddał literaturze służył. Talent to potężny i oryginalny, choć w pewnych razach rozwijający się w kierunku jednostronnym.

— W Cesarstwie powstaje towarzystwo budowy kolei podjazdowych i elektrycznych z kapitałem zakładowym, wynoszącym rs. 4.600.000.

— W ministerium skarbu rozpoczęła pracę komisya, mająca na celu uporządkowanie handlu zbożem. Do połowy kwietnia w komisji pracować będą wyłącznie przedstawiciele instytucji rządowych; w drugiej połowie przyszłego miesiąca w obradach wezmą udział przedstawiciele gospodarstw rolnych i komitetów giełdowych.

— Ministerium spraw wewnętrznych zwróciło uwagę na organizację pomocy lekarskiej po wsiach.

— Opuszcila prasę wytworna „Jednodniówka Monachijska”, wydana przez artystów i literatów, mieszkających w stolicy Bawarii.

— Henryk Siemiradzki otrzymał order włoski Św. Maurycego i Łazarza.

— Świat cały interesuje się w tej chwili wynalazkami rodaka naszego, nazwiskiem Szczepanika; są to jego telektroskopy i warsztat tkacki. Dzięki bankierowi wiedeńskiemu, Szczepanik mógł eksplloatować swe pomysły. Wynalazek Szczepanika polega na przenoszeniu na dalekie przestrzenie obrazów. Przyrząd przenosi w oka mgnieniu przy pomocy fotografii obrazy z jednego miejsca na drugie, wielkość zaś przestrzeni nie wpływa na siłę telektroskopu, którego działanie będzie sięgało tak dobrze do Ameryki, jak do Australii. Świeżo wydrukowany dziennik europejski w chwil kilka po opuszczeniu prasy drukarskiej, dostępny będzie dla mieszkańca Sydney. W tem właśnie leży wielkość wynalazku, jeżeli naturalnie jego stosowanie w praktyce odpowie zapowiedziom teoretycznym.

— W sali Muzeum przemysłu i handlu miał odczyt p. Antoni Austen o impresyonizmie. Na odczyt ten zebrało się wiele osób — zwłaszcza kobiet, które wysłuchały z niemałym zajęciem prelekcji bardzo ciekawej.

— W zjeździe dyrektorów i inspektorów szkół technicznych, odbywającym się w Petersburgu, biorą udział przedstawiciele wszystkich tego rodzaju szkół w Cesarstwie i Królestwie Polskiem.

— Proces o nadużycia służbowe, obecnie się odbywający w warszawskiej Izbie sądowej potrwa ogółem kilka tygodni. Oskarżony jest naczelnik powiatu opoczyńskiego, Herman.

— Wielkiem powodzeniem cieszył się odczyt p. Antoniego Pileckiego w Łodzi. Prelegent mówił o Adamie Asnyku, scharakteryzowawszy doskonale duchową fizyognomię poety.

Działaj, jak czysty, nieskażony, płomienistym mieczem swej szlachetności zbrojny, cherubin!

B. Trentowski.

W naszym czasie, w naszym kraju, dla ludzi dobrej woli — pokoju nie ma.

Prof. St. Tarnowski.

MYŚLI.

Świat się nie rozszerzył ale zyskał na głębi.

J. Słowacki.

Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną
I bite piersią zapału — nie pękna.

Tenże.

Nie trać nadziei, nigdy, nigdy! Kto ma
Wolę, ten wszystko pokona.

Tenże.

Ludzie bez wewnętrznej spokoju dusi próżno się
o zewnętrzną starają.

Tenże.

Stańcie się budownikami woli bożej na planie
cie tym. W każdym kształcie społecznym
uwidomcie wiarę — nadzieję — miłość.

Z. Krasiński.

Kto Judaszem wiekuistej idei, stać się może
i ludziom Judaszem.

Tenże.

Tak w głębiach serca, tak w przepaściach duszy
Drga jakies Boga przezyste odbicie,
Choć wewnątrz pełno mąk, trosk, łez, katuszy,
Choć serce zżółkło — tam w sercu trwa życie,
I niewidzialnym, ukrytym błękitem
Głęb wód i serca — związany z nieba szczytem!

Tenże.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Zgaszona iskra, przez Jadwigę Strokową. — Wiosna idzie! przez Józefa Wisniowskiego. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Gliński w dramatach. Z okazji wystawienia „Almanzora”, przez Artura Oppmanna-Dzierżanowskiego. — Zabobony, czary i czarownice w Królestwie Polskiem, przez Stanisława Ostrowskiego. — O zachodzie, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Z Ameryki, przez Z. Rawicza. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Masarenowie, powieść, przez Ouidę, arkusz 3 T. II. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11 Марта 1898 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.